

„ŚWIAT WEDŁUG MONTY BEXONA” – WSTĘP: LILIANY ŚNIEG-CZAPLEWSKIEJ „Beks@”. Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksińskim” 2005 r.

4 sierpnia, 2024 [tesinblog](#)[Dodaj komentarz](#)

Co rano uruchamiałam komputer z radością, wiedząc, że czeka mnie tam list od Bexy. To było tak, jakby dostawać dzień w dzień bukiet kwiatów. Kto by tego nie lubił? (To oczywiście kompletnie nietrafiona metafora, bo Bexa nikomu, nawet ukochanej żonie, w życiu kwiatów nie przysłał; specjalnie Go o to spytałam. Nie znosił ich zapachu, procesu gnicia i wędnięcia, w ogóle Natury z jej procesami niepodlegającymi dyskusji ani negocjacji. Jednak ten przykład dobrze ilustruje różnice między adresatem a adresatką, nadawcą a nadawczynią, bo ja kwiaty lubię, nawet te z kolcami lub ostrym zapachem.)

Chodzi po prostu o to, że Bexa – człowiek piekielnie inteligentny, bywał też piekielnie złośliwy. Wykpiwał komunały, pustosłowie, potknięcia w logice, ale najbardziej chyba... odporność na ironię. Sam był ironistą nad ironistami. Wtedy jego poranny list stawiał na nogi, podnosił ciśnienie, jak potrójna kawa. Jeden z listów zatytułowałam „Świat według Monty Bexona”, porażona Jego niecodzienną wyobraźnią.

Myślałam z optymizmem o przyszłości, o tym, że za kilka – kilkanaście lat co rano też będzie na mnie czekała e-mailowa niespodzianka od Bexy, pewna jak procenty w solidnym banku. Miał przecież tylko siedemdziesiąt sześć lat i, zdawało się, wszystko, co najgorsze, za sobą. Dbał o zdrowie, systematycznie zażywał lekarstwa, o czym przypominały Mu rozliczne elektroniczne urządzenia w mieszkaniu. Miał pomysły i chęć do pracy, był nieprawdopodobnie otwarty na sztukę i pełen malarskiej inwencji. Miał lata twórczego życia przed sobą. „Istnienie sprawia mi największą możliwą frajdę” – gdy to napisał, nie miałam cienia wątpliwości, że pisze prawdę.

Poznaliśmy się, gdy zrobiłam z Nim wywiad dla dwutygodnika „Viva!”, ale „pozwolił” zaprzyjaźnić się ze sobą dopiero, gdy wywiad ukazał się drukiem.

Nie miał już wtedy bliskich, z którymi przez lata mieszkał w tym samym nieustawnym mieszkaniu z pokręconymi korytarzami. Z żoną matką i teściową (w tym dwie ostatnie niesprawne, a mama praktycznie niepodnosząca się z łóżka. On dreptał wokół niej jak wokół niemowlęcia). Na końcu zachorowała żona Zofia Beksińska, na tętniaka aorty. Nie chciała poddać się operacji, ponieważ groziła paraliżem, a On nie naciskał, gdyż szanował suwerenność każdego człowieka, a zwłaszcza tego, z którym „przeżył w szczęściu pięćdziesiąt lat”. Ubywało mieszkańców trzech pokoi z kuchnią przy ul. Sonaty 6, jednego po drugim. Syn Tomasz od dawna mieszkał osobno, ale w pobliżu. Niestety i on odszedł, w Wigilię 1999 roku po raz trzeci podjął trzecią próbę samobójczą, tym razem skutecznie.

*

Gdy zgłosiłam się na wywiad do artysty, byłam porażona jego biografią. A potem... pełna podziwu dla tylu niegroźnych sprzeczności, współegzystujących w jednym ciele i umyśle. Jak to możliwe? Naprawdę można stracić wszystkich bliskich, łącznie z jedynym synem, i być tak

łagodnym, ciepłym, pogodnym z życiem człowiekiem? Malować najsmutniejsze, do żywego poruszające obrazy świata i być tak pogodnego usposobienia? Mieć opinię samotnika, eremity, a szczerze przejmować się losem ludzi, których się lubi, pomagać pociotkom, zubożałej koleżance żony, a nawet obcym? Był jak feniks z popiołów, co strząsnął z piór gorycz, smutek i zobojętnienie tak charakterystyczne dla starości, której los nie oszczędził niczego, co najgorsze. Stał się dla mnie żywym dowodem na to, że nie trzeba się tak potwornie bać samotności, jakkolwiek straszna by ona była.

Po ukazaniu się wywiadu prasowego zaproponowałam Beksińskiemu wspólną książkę, wywiad-rzekę. Odmówił (vide listy). Odmowy nie przyjął do wiadomości, licząc na „zmianę opcji”. On nie był zbyt uparty, ja byłam cierpliwa. Nie zawiodłam się. W miarę upływu czasu idea książki oddalała się wraz z horyzontem, wypierana przez codzienną radość korespondowania z dobrym i mądrym człowiekiem. Ja pisałam do Bexy co wieczór, co noc, podsumowując przygody dziennikarki prasy kobiecej, której On nie cierpiał (wstydył się nawet ją kupować), On odpisywał rano albo trochę później. Bywały dni, rzadkie, ale bywały, gdy pisał dwa e-maile, musiał mieć jednak po temu wyraźny powód. Korespondencja rwała się tylko wtedy, gdy psuły się nam komputery, zawodziły serwery, płała figle elektronika albo ja wyjeżdżałam w delegacje, bo Bexa od lat się nie ruszał poza opłotki osiedla Służew nad Dolinką. Gdy wracałam z wyjazdu z VIP-ami pierwszych stron gazet, o których On nie miał pojęcia (albo miał mgliste, albo udawał – niewłaściwe skreślić) – kpinom z Jego strony nie było końca.

Wśród 616 listów (poniższy wybór jest tylko drobną ich częścią) były filozoficzne i socjologiczne wykłady, refleksje o ważnych artystach XX wieku, o Biblii i Kohelecie, a wszystko podlane sosem kpiny i ironii, w tym z siebie („nie jestem Luter i nie stawiam tezy”). I ze mnie: „Widzę, że ukończyła pani kurs szybkiego czytania”. Nie miał złudzeń, co do wielu bliźnich: „nie można od żaby wymagać, by łąpała myszy, ani od kota, by pływał krytą żabką”. Na ogół dziwił się wszystkiemu, co robiłam: „w tym tygodniu zaliczyła pani tyle imprez towarzyskich, co ja w ciągu ostatniego piętnastolecia”.

Inne przykrości nie wchodziły w grę. Bexa powalał tolerancją i nigdy, przenigdy nie podnosił głosu. Nawet wirtualnie.

Jeśli ktoś myśli, że był naprawdę szczerzy, to się myli: „jestem człowiekiem skrytym, i tylko czasami stwarzam pozory otwartości”.

Bexa – Zdzisław Beksiński, wiedział, że tak go przezwalałam, że tak o Nim mówię. Nie miał nic przeciwko temu.

Ostatni list otrzymałam od Niego dnia 21 lutego 2005 roku, o 10.38. W dniu Jego śmierci. Śmierci tak porażająco bezsensownej, że aż niewiarygodnej. Dla kilkuset złotych. Gdy w ten lutowy wtorek usłyszałam o niej w radiu, przez kilka godzin trwałam w przekonaniu, że to się nie mogło zdarzyć, że to nieprawda, że tak mi się tylko zdaje („zdawaniu się” i odczuwaniu czasu poświęciliśmy kilka listów). Gdy po paru godzinach zdobyłam się na odwagę, aby zadzwonić do Jego domu, byli tam już dalecy krewni i ekipa dochodzeniowo-śledcza, zabezpieczająca ślady. Od drugiej żony szwagra dowiedziałam się, że w mieszkaniu brakuje najnowszego aparatu fotograficznego, albo i dwóch, a ja miałam przecież ich zdjęcia w mojej poczcie e-mailowej, wśród dziesiątków innych zdjęć przysyłanych przez Bexę. Bo radząc, co mam kupić, przysyłał mi różne dziwne zdjęcia: klawiatury komputerowej, sejfu, pamięci,

kaloryferów, gdy akurat mi jakiś pękł itd.... Dostarczyłam je na komendę policji następnego dnia.

Prowadzący śledztwo już wiedzieli, że sprawcy należy szukać blisko. W mieszkaniu panował porządek, obrazy i komputery, drogie elektroniczne gadżety były na swoim miejscu. Nie naruszono sejfu, w którym – jak się potem okazało – znajdowało się około trzystu tysięcy złotych, bo Bexa nie do końca ufał bankom.

Sam otworzył drzwi, zdjął łańcuch. Musiał widzieć na monitorach zawieszonych nad drzwiami twarz mordercy, choć drzwi otwierał jeszcze znajomemu. Godziny śledztwa mijały, a w świat zaczęły płynąć szeroką falą spekulacje, podejrzenia, sugestie i bzdura za bzdurą, od których znajomym zamordowanego robiło się niedobrze. Że motywem zbrodni nie był rabunek (choć od początku wiadano o aparatach).

„Wszystkie motywy bierzemy pod uwagę, łącznie z samobójstwem”, puścił pierwszego medialnego pawia wysoki oficer stołecznej policji, choć wiedział, że ofiara miała liczne rany klute i cięte, że walczyła o życie, a mieszkanie było pełne krwi. Samobójca, który zadał sobie siedemnaście ciosów nożem, w tym w serce, płuca, aortę? Wysoki oficer wiedział, że sprawców musiało być dwóch, bo gdy nieśli ofiarę na balkon, to nawet Mu kapcie nie spadły.

Po co więc było bredzić o samobójstwie? Aby być o dwadzieścia sekund dłużej na wizji w wieczornych wiadomościach? Gdzie się podziała policja, która milczy z klasą „dla dobra śledztwa”. Albo przynajmniej, jak mówi, to wie, co mówi. A może na taki szum medialny ludzie mający swój udział w śledztwie pozwolili sobie dlatego, że Beksiński nie miał rodziny? I już wiadomo, że nikt nie przyjdzie z awanturą. A jak można, to wolno. Popłynęły w świat wyssane z brudnego palca informacje o schizofrenii i chorobach psychicznych, gnębiących malarza i jego rodzinę. „Zbigniew Beksiński mógł zlecić zabójstwo samego siebie”, wprost sugerował pewien nieudolny malarz, który całe zawodowe życie zazdrościł Beksińskiemu wszystkiego. Od uwielbienia fanów po kasę, bo Bexa ile żądał za obraz, tyle dostawał.

Wśród nieścisłości w publikacjach były zarówno ważne (wciąż uprawia twórczość komputerową, choć Bexa ją dawno zarzucił), jak i głupstwa (pije tylko colę i piwo, podczas gdy On od lat nie tykał alkoholu w żadnej postaci, a piwo trzymał w lodówkach dla gości, bo lubił im dogadzać).

Od epatowania tandetną sensacją nie odcięły się poważne tygodniki, za życia artysty poświęcające trochę miejsca Jego twórczości i dorobkowi. O „sadystyczno-masochistycznych skłonnościach malarza” napisała rzetelna dotąd reporterka tygodnika. Zdezorientowani czytelnicy już mieli prawo widzieć, oczyma wyobraźni, panienki z pejcami w czarnych skórach przemykające się wieczorem do mieszkania przy Sonaty 6. Tego, że Beksiński swe ujawnione wcześniej publicznie przez siebie skłonności sadomaso miał jedynie w pojemnej głowie, w plikach swej nieogarnionej wyobraźni, z zerowym przełożeniem na działanie – już w tekście nie było. A to przecież tak, jakby mówić o skłonnościach „perwersyjnego zbrodniarza” Hitchcocka. O ile w przypadku reżysera perwersyjna zbrodnia owszem, działa się, jak najbardziej – ale tylko na ekranie, o tyle u Bexy – wyłącznie w obrazach i grafikach. Bo w prawdziwym życiu jeden i drugi byli najlepszymi pod słońcem i wiernymi mężami, że takich dziś ze świecą szukać, spokojnymi głowami rodzin ceniącymi zacisze domowe i spolegliwymi ojcami swoich jedynek dzieci.

Ale najbardziej „wzruszające” były fachowe środowiskowe oceny kolegów-malarzy, którzy natychmiast przypomnieli, że Bexa nie był absolwentem ASP, a „jedynie architektury”, że był – patrzcie, ludzie, patrzcie, zwykłym amatorem – tak jakby dyplom ASP dawał gwarancję czegokolwiek.

Zawiść i niechęć unieruchamiała oceniającym i wspominającym szczęki. Przeciskały się przez nie jedynie komplementy w stylu „rzemieślnikiem był dobrym”, a i to tylko dlatego, że słowo „umiejętności” nie przeszłoby zawistnikom przez gardło. O kunszcie, mistrzowskich umiejętnościach, jakimi włada niewielu (poza wyjątkami, jak Janusz Miliszkiewicz – krytyk sztuki), mowy nie było.

Odpowiedź na pytanie, kto zamordował tak niewyobrażalnie dobrego człowieka w tak okrutny sposób, że miał przez kilka minut świadomość, iż umiera, znalazła się już pod koniec trzeciej doby od popełnienia zbrodni.

Rodzinę K. z Wołomina Beksieńscy poznali przed dziesięcioma laty przez dalekich krewnych. Krzysztof K. był „złotą rączką”, podejmował się każdej pracy związanej z remontem, do tego oprawiał obrazy, co w latach dziewięćdziesiątych sprawiało malarzom pewne trudności. K. uchodzili za głęboko wierzącą rodzinę. Ich najstarszy syn Robert K. każdej niedzieli służył do mszy jako ministrant.

Jeszcze jesienią 2003 roku państwo K. jeździli starym polonezem caro (vide list), którego Bexa żartobliwie nazywał „lamborghini”. Wkrótce potem K. pożyczili od Beksieńskiego pieniądze na nowego renault megane (pożyczili nie wiadomo ile, bo każde źródło mówi co innego, a państwo K. podają najniższą z kwot, czyli trzydzieści osiem tysięcy złotych). Pan Krzysztof K. miał dług odpracować, remontując, jego żona – sprząając, a dzieci – najstarszy syn albo jedna dwóch młodszych córek – pomagały w tym matce.

*

21 lutego 2005 roku ich syn, Robert K., uczeń drugiej klasy Liceum Ekonomicznego w Wołominie przyjechał pod dom Beksieńskiego tymże właśnie samochodem renault megane. Było kilkanaście minut po 21.00. Pierwszą przeszkodę – domofon przy wejściu na klatkę schodową – pokonał łatwo, mówiąc Beksieńskiemu jedno słowo: nazwisko K., ale bez imienia. Młodszy, szesnastoletni kuzyn pozostał pod klatką na czatach, widzieli go tam zresztą sąsiedzi.

Morderca Robert K., który nie omieszkał wziąć z domu noża, wjechał na trzecie piętro. Miał powiedzieć Beksieńskiemu, widzącemu go na monitorze, że ojciec już idzie, jest tuż za nim.

Dopiero gdy malarz wpuścił go do środka, przyznał się do prawdziwego powodu wizyty: „Przyszedłem pożyczyć trochę pieniędzy. Jakies dwieście, trzysta złotych”. „Z czego oddasz, przecież nie zarabiasz?”, spytał Beksieński. „Nie pożyczę ci żadnych pieniędzy”. „Tylko niech pan nie mówi ojcu”, „Nie będziesz mi mówił, co mam robić”, powiedział Beksieński i wycisnął numer komórki jego ojca, telefon trzymał w ręku. Ten nie odebrał, bo był w łazience, nie słyszał telefonu.

Prowadzącej śledztwo prokurator Renacie Zielińskiej, w trzeciej dobie od popełnienia zbrodni, Robert K. nawet nie umiał powiedzieć, na co chciał przeznaczyć „pożyczone” pieniądze. Wymienił jakieś zwykłe potrzeby przeciętnego nastolatka: dyskoteka, koledzy,

piwo. Tę wersję wydarzeń znamy z zeznań Roberta K. i innej już nie poznamy, o ile on sam nie zmieni zeznań. Jego ojciec w mieszkaniu ofiary zamontował sejf. Trudno uwierzyć, aby syn – złodziej i zabójca, nie wiedział o jego istnieniu. I nie marzy o jego poruszającej wyobraźni zawartości.

Gdy po kilku minutach Krzysztof K., ojciec mordercy, oddzwonił do Beksińskiego, ten najprawdopodobniej konał, a jego syn – morderca szukał łupów, po które przyszedł. Musiał spanikować, gdy w całym mieszkaniu rozzwoniły się zamontowane w każdym pokoju telefony stacjonarne, komórka, automatyczna sekretarka i usłyszał głos ojca: „Panie Zdzisławie, co się z panem dzieje?”. W chwilę potem Robert K. odebrał telefon na swoją komórkę od ojca: „Wracaj, muszę mieć samochód, żeby pojechać do pana Zdzisława, coś mu się stało”. Niestety, na jakąkolwiek pomoc było za późno. Wiadomo tylko, że Beksiński się bronił, że próbował obrócić ostrze noża w kierunku napastnika. Ten, choć niewysoki, niestety miał więcej siły niż siedemdziesięciosześcioletek. Nie na darmo ćwiczył w domu.

Jak powiedział mi jeden z policjantów biorących udział w dowiezieniu rodziny K. na przesłuchanie w komendzie w drugiej dobie trwania śledztwa, w kilku pokojach domu w Wołominie zauważył urządzenia do ćwiczeń typu „atlas”. Książek nie zauważył.

*

Śmierć znajomą miała twarz. Beksiński znał Roberta K., gdy jego przyszyły zabójca był dziewięcioletnim dzieckiem. Jeździli do Wołomina z obrazami do oprawy, zawsze z prezentami, słodyczami dla dzieci, o czym pamiętała Zofia Beksińska. W dziesięć lat później monitory nad drzwiami, dobre drzwi, dobre zamki, łańcuch okazały się zbędne. Bexa wpuścił do domu pierwotnego rodziny K., dla której był kurą znoszącą złote jaja.

„Ach, gdybym miał takiego drugiego klienta, nie martwiłbym się o przyszłość”, wyznał Krzysztof K. szczerze, wspominając malarza w chwili, gdy jeszcze nie wiedział, że źle wychował syna. Nic dziwnego. Przez ostatnie blisko dwa lata rodzina K. ciągnęła od Bexy aż miło, biorąc o wiele wyższe stawki za swoje usługi, za pomoc w remontowaniu mieszkania, za sprzątanie, z czego ten ostatni zresztą świetnie zdawał sobie sprawę (vide listy). Przez syna – mordercę rodzice stracili cennego pracodawcę, ale każdy medal ma dwie strony – przynajmniej nie muszą odpracować reszty długu. Chyba żeby upomniało się Muzeum Historyczne w Sanoku, które „ja, Zdzisław Beksiński, syn Stanisława i Stanisławy z domu Dworska, będąc w pełni władz umysłowych, czynię jedynym spadkobiercą”.

Nasza codzienna wymiana listów była pewnie o wiele ważniejsza dla mnie niż dla Bexy. On przecież przyzwyczył się do tego, że wielu ludzi wiele od niego chce. Jego czasu, jego pieniędzy, towarzystwa, jego wolności, talentu (vide e-maile). Strasznie mi żał tych kilkunastu lat, które Mu zabrano. Namalowałby jeszcze wiele wizjonerskich obrazów. Pomógłby wielu ludziom, wsparł potrzebujących: „bo mnie żał tych, którym się nie udało”.

Był artystą z krwi i kości, nie stał w miejscu. Rozwijał się, ewoluował. Zmieniały się motywy, zmieniała się kolorystyka obrazów. Kolory używane w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, które przed laty prof. Jacek Woźniakowski określił jako „chemiczne”, ocieplały się, zaczęły połyskiwać, emanować ciepłem (na pewno Bexa by się z tą tezą zgodził, nie na darmo mówił przecież, że z powodu nadmiaru kobiecych hormonów jest w dużej mierze rodzaju żeńskiego).

Mimo znajomych i kilku przyjaciół, często z młodości, w gruncie rzeczy był potwornie samotnym człowiekiem. Po stracie najbliższych skazany był na przypadkowe, okazjonalne znajomości i ludzi, których usług potrzebował: masażystę, fizykoterapeutkę, fotografa, dziennikarzy piszących o sztuce. Niektórzy z nich z czasem stawali się Jego przyjaciółmi, bo jak kogoś polubił, to polubił. Prawy i prawdomówny, szczery i szczodry, prostolinijny, choć skomplikowany. Zero-jedynkowy, a więc najprostszy z prostych, a jednocześnie ekscentryk i oryginał. Napisałam, że był eremita, odludkiem, samotnikiem, a to g... prawda. Kiedy był, to był. Niby był, ale nie był. Bo lubił kontakt z ludźmi, dającymi się lubić; gadał z nimi godzinami „na żywo” i przez telefon, dociekał kwestii, które go „zwilżały” (autorski zwrot!). Nie tolerował tylko prostaków i prościuchów, snobów i fałszywców, naciągaczy i wydrwigroszy. Niesamowite jednak, że im też pomagał, jeśli tylko czuł, że mają życiowy problem i że jak nie on, to nikt: „bo mnie żał tych, którym się nie udało”.

Niestety, w sprawach artystycznych popełnił wszystkie możliwe błędy: trzymał się z dala od poklasków tłumu, wernisaży, wystaw, promocji, lansowania, całego blichtru tego świata...

Nie pchał się na afisz, nie zabiegał. Dlatego w czasach PRL, autopromocji i autolansowania, znali i cenili go tylko ci, jedynie ci, wyłącznie ci, których naprawdę interesowała Sztuka. Ilu jest takich dzisiaj?

Za taką postawę się płaci. Wysoką cenę.

*

To nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych. Są nimi wielcy artyści. I bez względu na to, co mówią niektórzy krytycy, albo „koledzy-malarze”, Bexa wielkim artystą był. Howgh. (Skończyłam tak, jak On kończył niektóre swoje maile, gdy uprawiał, jak mówił ironicznie, „Kazanie na Górze”. Boże, jak mi Go brakuje, i Jego błyskotliwej ironii.)

Liliana Śnieg-Czaplewska

Wszystko, co powyżej napisałam, to tylko próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego ujawniam część naszej prywatnej korespondencji. Bardziej Jego niż mojej.

Bo Bexa był tego wart.

Bo takich ludzi już dziś nie ma. Albo jest naprawdę niewielu, bo jak On, trzymają się na uboczu, trudnym do odkrycia.

Bo warto go poznać takim, jakim był.

Bo, przy okazji jego śmierci („okazja” – Chryste, co to za słowo?), wypowiedziano tyle podłych nieprawdziwości, które koniecznie trzeba zweryfikować.

Dlatego.

Bo jestem mu to winna, a z Jego listów bije prawda, jakim był człowiekiem. Tylko tyle i aż tyle.